Nr. 45. Warszawa, dnia 7 Listopada (26 Października) 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

FILOZOFIJA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub [illegible]

POLITYKA.

NIEPOKÓJ FORMALISTÓW.

Przez czas pewien po wstąpieniu na tron Wilhelm II ze szczególnym naciskiem i widocznem upodobaniem powtarzał przy każdej sposobności, że pragnie wstępować w ślady swego dziada, którego obrał sobie jako wzór. Ustawiczne te zapewnienia, które jak gdyby usuwały w cień ojca, nieszczęśliwego Fryderyka, słusznie czy niesłusznie uważanego za charakter podniosły i naturę szlachetną, nieprzyjemnie raziły w ustach syna. To też powszechnie spodziewano się, że nowy monarcha niemiecki upodobni się do Wilhelma I, że będzie wychowankiem Bismarka, jego dumą, chlubą i.., narzędziem. Tymczasem ku wielkiemu zdumieniu wszystkich obserwatorów i wróżów polityki objawiła się w nim nagła, przez nikogo nieoczekiwana i uderzająca zmiana. Przełomowym jej momentem było energiczne usunięcie z urzędu Bismarka, wypadek, który nie mieścił się w możliwości najfantastyczniejszych przypuszczeń i po którym niemcy dotąd jeszcze się nie opamiętali. Można przypuścić, że mógł to uczynić Fryderyk, gdyby był zdrów i dłużej panował, ale nigdy Wilhelm I i naśladujący go wnuk. Również raczej w stylu ojca, niż dziada, było zwołanie międzynarodowej konferencyi w sprawie robotniczej do Berlina, oświadczenie się za górnikami podczas bezrobocia węglowego itd. Słowem, w Wilhelmie II, zaręczającym, że pójdzie drogą dziadka, odżył nagle ojciec.

Również Fryderyka przypomina on częstemi i bezpośredniemi odezwami do narodu z pominięciem pewnych ustalonych form dla wystąpień monarszych. Dymisya, udzielona Bismarkowi, była tak ogłuszającym gromem, że dopiero teraz spostrzeżono, iż w donoszącem o niej rozporządzeniu cesarskiem brakło wymaganego przez konstytucyę podpisu ministra odpowiedzialnego. Zauważono wszakże ten brak w innych aktach Wilhelma II, który umyślnie chce wytworzyć osobny rodzaj porozumiewania się z narodem za pomocą częstych, bezpośrednich odezw, mających — jeżeli tak rzec można — charakter półurzędowy. Nie występuje on w nich jako kierownik rządu, jako głowa władzy wykonawczej, ale jako „Landesvater,“ ojciec kraju, jako człowiek obdarzony najwyższem dostojeństwem, który wyraża swoje zdanie osobiste, obowiązujące poddanych nie tyle prawnie, ile moralnie.

Chociaż treść tych odezw bywa sympatyczna, ich forma budzi w obrońcach konstytucyi poważne zakłopotanie, a nawet głośne niezadowolenie. Wszystko to bardzo piękne — mówią oni — ale ani cesarz niemiecki, ani król pruski nie jest samowładnym i musi osłaniać się w czynach urzędowych odpowiedzialnością ministrów. Jeżeli ten zwyczaj się utrwali — dowodzą dalej — zmieni podstawę organizacyi państwa i może stać się bardzo niebezpieczną bronią. Zwłaszcza żywioły liberalne i demokratyczne zaniepokoiły się tą możliwością. Opanowała zaś je ona nadzwyczajnie w zeszłym tygodniu. Niedawno rozstrzygana była w sądzie kryminalnym sprawa małżonków Heinze, która przed oczami władz i społeczeństwa odsłoniła ohydną a nieznaną sferę niecnego zawodu, niemającego w naszym języku odpowiedniego wyrazu, a nazywanego po niemiecku „Zuhälterthum.“ Jest to szczególny związek nierządnic z mężczyznami najpodlejszego gatunku, którzy je otaczają swoją opieką i materyalnie wyzyskują. Zgorszony widokiem tej zgnilizny, cesarz napiętnował ją w osobnej odezwie (Erlass) i powołał organy prawodawstwa i władzy wykonawczej do energicznego przeciwdziałania. Usprawiedliwia on swoje wystąpienie tem, że prawo jest wykonywane w jego imieniu i że nadto jako stróż tego prawa ma obowiązek domagania się kary na przestępców i skutecznych leków na chorobę społeczną. O ile złe da się wykorzenić środkami istniejącymi, Wilhelm II zapewnia urzędników policyi, że w „bezwzględnem“ zwalczaniu plagi mogą liczyć nietylko na jego uznanie, ale nawet na opiekę. Lecz ponieważ obecne ustawodawstwo okazuje się niedostatecznem, więc cesarz żąda, ażeby ono było dopełnione odpowiednimi przepisami. Upomina przytem sądy, ażeby w wyrokowaniu nie powodowały się „fałszywym humanizmem,“ ażeby obrońcom nie pozwalały pomagać zepsuciu do zwycięztwa, wreszcie ażeby procesy tego rodzaju toczone były tajnie z wyłączeniem publiczności.

I ta odezwa nie miała podpisu ministra. Ale oprócz tej zewnętrznej nieformalności zadrasnęła ona konstytucyonistów niemieckich swą osnową, zbyt dobitnie przypominającą słynne: *sic volo, hoc jubeo*, które Wilhelm II rzucił byłemu ministrowi oświaty, a potem niejednokrotnie wyraził innemi słowami. Największym kamieniem obrazy stał się nacisk na niezależne dotąd sądy, wywarty w kierunku wzmocnienia surowości, ograniczenia adwokatów i zniesienia jawności procesów. Tych praw niemcy nie chcą się pozbawić i w utracie ich widzą wielkie niebezpieczeństwo, zwracając jednocześnie uwagę, że monarcha, tak stanowczo wyrażając swoją wolę, której samowładnie wykonać nie może, naraża się na możliwość odmowy ze strony ciał prawodawczych.

Nie będziemy tu roztrząsali formalnej zasadności tych utyskiwań, postawimy sobie tylko pytanie: czy Wilhelm II ma racyę, wykazując społeczeństwu groźną ranę wewnętrzną i wymagając przeciw niej energicznego użycia środków zaradczych? Niewątpliwie. „Zuhälterthum“ jest taką raną, a czy pobudka do leczenia jej ujawiło się w ramach ceremonialu konstytucyjnego, czy też nie — to dla samej rzeczy jest kwestyą podrzędną. Jeżeli zaś niemcy lękają się, ażeby korona nie rozszerzyła swych przywilejów, posiadają przeciw parlament. Zresztą nie sądzimy, ażeby Wil-

helm II miał zamiar worywania się głęboko w jego pole i naruszania konstytucyi. Pomija on pewne formalności i wywiera za silny nacisk na swych poddanych poprostu z gorączki krewkiego temperamentu i chęci działania osobistego. Kilkakrotnie już tego dowiódł, rzucając na szalę opinii słowa, które mają wielką wagę. W tem nie przypuszczamy też, ażeby krzyk spłoszonych gęsi Kapitolu niemieckiego ostrzegał o istotnem niebezpieczeństwie. Wilhelm II z pewnością nie okroi konstytucyi, tylko żądny czynów będzie ją ciągle szarpał w kierunku swych zamiarów, dopóki wiek, czy wreszcie doświadczenie krwi jego nie ostudzi. Pomału społeczeństwo oswoi się z tymi wybuchami energii, a nieraz może powie lub pomyśli, że woli dobro nieprawidłowo otrzymane, niż złe najprawidłowiej dokuczające.

Z AUSTRYI.

Walka o koleje. — Z dyskusyi budżetowej. — Młodoczesi w walce z niemcami i z trójprzymierzem. — Z dziejów antisemityzmu parlamentarnego. — Mechanik Schneider i jego rozprawa z rabinem Blochem.

Donioślejszą, niż bieżące obrady parlamentu austryackiego, jest walka zakulisowa, którą Koło polskie stacza z rządem w sprawie decentralizacyi kolei państwowych. Od wyniku tej walki zależy ugrupowanie się stronictw parlamentarnych, a w następstwie siła gabinetu hr. Taaffego w przyszłości najbliższej. Koło zdecydowane jest bowiem w tej sprawie nie ustępować, tem bardziej, że walczy nie tylo z interesem państwa, ile z interesami prywatnymi, które maskują się za pomocą pięknie brzmiących frazesów. Galicya żąda całkowitej autonomii dla administracyi galicyjskich kolei państwowych, rząd zaś na to zgodzić się nie chce. Co prawda, stanowisko jego dziś już zupełnie jest inne, niż wówczas, kiedy sprawa ta po raz pierwszy stanęła na porządku dziennym. Prasa niemiecko-liberalna i urzędowa postanowiła pomijać na razie całkowitem milczeniem ważną tę kwestyę, gdyż nie wie, jakie wobec niej zająć ma stanowisko. Jeżeli rząd zgodzi się ostatecznie na wymagania Koła, gabinet hr. Taaffego liczyć wprawdzie może na to, że otrzyma się ugrupowanie stronnictw, pożądane dla prac parlamentarnych; z drugiej strony decentralizacya kolei będzie ciosem materyalnym dla pewnych kół przemysłowych, związanych z lewicą, a zarazem upadnie ważna podpora idei centralistycznej. Możliwość zaś, że polacy, niezadowoleni postawą rządu, wstąpią do dawnego „żelaznego koła“ prawicy, jest zarówno groźna dla lewicy, jak dla rządu. Dlatego to prasa austryacka o całej tej sprawie milczy; obrano zaś inną drogę, aby utrudnić Kołu działanie skuteczne. Ogłoszono w piśmie węgierskiem artykuł, który żąda zaniechania decentralizacyi kolei państwowych ze względów wojskowych. „Strategiczna użyteczność dróg galicyjskich — pisze *Pester Lloyd* — zmniejszyłaby się znacznie, gdyby sztab generalny porozumiewać się musiał nietylko z dyrekcyą główną, lecz nadto z kilkoma szczegółowemi, zwłaszcza w okresie ostatnich przygotowań przed wybuchem wojny.“

Posłowie polscy twierdzą przeciwnie, że decentralizacya administracyi kolejowej podnosi siłę odporną państwa i powołują się na dzieje wojny niemiecko-francuskiej. Jednak nie tu leży punkt ciężkości walki: kwestya ta jest przedewszystkiem ekonomiczną. Koło polskie zaznacza to najwyraźniej w memoryale, złożonym rządowi. Pragnie ono, aby dyrekcyi głównej kolei państwowych we Lwowie przyznano prawo nabywania we własnym zakresie działań wszelkich przedmiotów, potrzebnych dla utrzymania ruchu, oraz mianowania całej służby urzędniczej dla linii galicyjskich. Dzięki pierwszemu prawu, podniósłby się przemysł krajowy, dzięki drugiemu, znalazłyby pracę siły robocze miejscowe.

Rząd czyni dziś już pewne ustępstwa. Gotów on przyznać dyrekcyi galicyjskiej prawo mianowania urzędników, lecz tylko w obrębie pewnych stopni; podobnie udzielić jej chce prawa nabywania materyałów, lecz wyłącznie wagony, szyny i węgle. Koło nie walczy dziś tedy już z oporem zasadniczym, jeno o zakres decentralizacyi. Nadmieniamy zaś raz jeszcze, że nie idzie tu o ideę państwową, tylko o interesy materyalne wielkich przemysłowców, którzy pragnęliby zatrzymać monopol dla głównych kategoryj dostaw kolejowych. Na razie, chociażby Koło zwyciężyło, dyrekcya galicyjska zmuszona będzie sprowadzać wagony z fabryk obcych, dla tej prostej przyczyny, że w Galicyi wagonów nie wyrabiają; lecz o to właśnie idzie, aby zabezpieczyć przedsiębiorcom z góry odbyt i wpłynąć w ten sposób na rozszerzenie i podniesienie przemysłu galicyjskiego. Są widoki, że mimo wytoczenia argumentów najcięższego kalibru, jakiemi są bez wątpienia „strategiczne interesy“ państwa, Galicya nie da wytrącić sobie z ręki znakomitego środka poprawy swych stosunków ekonomicznych.

Na arenie parlamentarnej tymczasem młodoczesi z niemcami, antisemici z obrońcą żydów, Blochem, zwykłe wyprawiają harce. Ogólnej dyskusyi budżetowej, nader krótkiej tym razem, użyli młodoczesi, aby wystąpić z żalami, że cesarz zanadto protegował żywioł niemiecki podczas swej podróży, a Vaszaty w imieniu stronnictwa swego oświadczył się przeciw trójprzymierzu i za przystąpieniem Austryi do sojuszu francusko-ruskiego.

Antisemici doznali nieprzewidzianej klęski wskutek brzydkiego postępku jednego z ich prowodyrów, Schneidera. Powołany do głosowania przy wyborach komisyjnych, przekreślał na kartkach oddanych nazwiska kandydata liberalnego, wpisując natomiast antysemickiego. Kiedy fakt ten doszedł do wiadomości parlamentu, wywołał oburzenie powszechne, któremu Schneider mimo niezrównanej swej bezczelności oprzeć się nie mógł. Towarzysze jego nie występowali wcale z obroną winowajcy, br. Hohenwart, który należał do nieurzędowych jego przyjaciół, zarzucił mu w pełnej Izbie, że kłamie. Wiele momentów humorystycznych miała w sobie walka, którą w parę dni potem Bloch stoczył z Schneiderem i Luegerem w sprawie izb lekarskich. Ponieważ w zawodzie medycznym żydzi występują licznie, Schneider usiłował użyć tych obrad do agitacyi, zaznaczając między innemi, że do sekcyj anatomicznych dopuszczają jedynie trupy chrześcian, uprzątając ze szpitali ciała żydów celem rytualnego ich pogrzebania. Bloch wykazał, że zjawisko to, o ile istnieje, tłomaczy się nie czynnością lekarzy, jeno towarzystw pogrzebowych, czyli t. zw. bractw świętych, które pewną część trupów swoim kosztem grzebią. Zaproponował antisemitom, aby zakładali podobne towarzystwa. Na zarzut, że ci nie mają funduszów, wskazał im Bloch na prowodyra ich, księcia Lichtensteina. Daremne wezwanie! — odezwał się na to któryś poseł z lewicy — zmarli nie mają prawa wyborczego!

S-z.

GARBUSEK.

Z CYKLU „NAD MORZEM.“

Obrazki westerlandzkie.

Błądząc wzdłuż ulic małej wioski fryzyjskiej, dotarliśmy do nizkiej, murowanej chaty. Szyld, przybity nad jej drzwiami, zwiastował mieszkanie stolarza.

Mijaliśmy ją zwolna, gdy wtem wzrok Stasia uderzył niewielki malowany obrazek, zawieszony na szybie jednego z okien.

Stanęliśmy przed nim.

Za temat twórcy jego posłużyła nawałnica morska. Kilka rozkołysanych bałwanów, [illegible]rzając o nędzną, bladawą powierzchnię [illegible]ntu, zalewało skrawek płaskiego wybrzeża. W powietrzu czuło się jęk i wycie wiatru. Kilka mew rozkrzyczanych trącało o czubki fal spienionych otwartymi dziobami. Dwa małe liche okręty uciekały przed burzą na rozpiętych żaglach, pochylone, niemal poprzewracane, pełne wody, wdzierającej się wszystkimi otworami. Staś okiem znawcy ocenił wartość obrazu.

Pędzel, niewyrobiony, zbyt jaskrawe rzucający barwy, zdradzał samouczka, któremu instynkt dyktował prawa techniki, błysk tematu i poczucie tonu.

— Kto to malował? — spytaliśmy właściciela chaty, wchodząc na jej próg.

Tęgi, niemłody już fryzyjczyk, zajęty heblowaniem desek, spojrzał na nas badawczo. Skinąwszy następnie jedną ręką na znak powitania, drugą wskazał nizkiego, rachitycznego chłopca o skrzywionych, połamanych nogach, stojącego na kulach przed rozpiętem płótnem świeżo zaczętego obrazka i trzymającego pędzel w drobnych, bladych rękach. Plecy jego, mocno wypukłe, mówiły o smutnem kalectwie. Twarz, jak zwykle twarz garbatych, każdym rysem zdradzała zawiędłą starość. Wiek jego trudno było oznaczyć: mógł mieć lat piętnaście, a wyglądał na dziadka swego ojca.

— Czy brałeś kiedy lekcye rysunku i malarstwa? — spytał Staś, podchodząc do kaleki, który, rzuciwszy pędzel, oparł się mocniej na swoich dwóch kulach i obrócony do nas bokiem, nie patrzył ani na mnie, ani na Stasia.

— Czy uczyłeś się kiedy rysunków i malarstwa? — zapytał Staś powtórnie.

— Nie! — brzmiała odpowiedź.

Głos, który ją wyrzucił, miał dźwięk suchy, tępy, chrapliwy i krótki, pełen niechęci.

— Czy miałbyś ochotę brać je teraz? — zapytywał Staś dalej. Na wyspę—dodał—przyjeżdża rok rocznie spora garstka malarzy: łatwo by ci było poprosić którego z nich o wskazówki. Z twoich obrazków widzę, iż masz talent, którego szkoda zaniedbywać...

Zagadywany odwrócił się do nas plecami i wyglądając przez okno, ani razu już więcej nie rzucił spojrzenia w naszą stronę.

Staś zadał mu kilka jeszcze pytań, które jednak pozostały bez odpowiedzi.

Wyszliśmy z izby, w której stolarz, ojciec garbuska, zabrał się napowrót do roboty, nie słuchając zupełnie rozmowy naszej z jego synem.

— Dziwnie obojętny naród — rzekł do mnie Staś, zatrzymując się na progu sieni, dzielącej chatę na dwie części. Nie zdążyłam odpowiedzieć mu, gdy usłyszałam głos, rzucający nam uprzejme powitanie.

Wysoka, szczupła kobieta o siwych włosach i bladych, zmęczonych jak gdyby cią-

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Maluczko a stopnieje doszczętnie maleńka już dziś grudka, która niedawno była jeszcze dużą bryłą — partya staroczechów. Rieger bowiem stawił się przed hr. Taaffem ze stanowczem oświadczeniem, że jeśli język czeski nie będzie zaprowadzony w urzędach kraju, wszyscy staroczesi złożą mandaty. Ponieważ zaś prezes ministrów żądaniu temu odmówił, przeto Riegerowi i jego towarzyszom pozostało już tylko „wyciągnąć praktyczne konsekwencye.“ Ustąpienie ich zmieni głęboko wewnętrzne stosunki polityczne Austryi, a w szczególności Czech. Stronnictwo młodych wyrosło walką, żyło walką i zawdzięcza swą siłę walce ze starymi; gdy ci usuną się, zwycięzcy owładną ich polem działania, ale stracą siłę rozpędową, urok bojowy, to wszystko wreszcie, co dają śmiałe i pomyślne ataki. Gdy znikną przeciwnicy, młodoczesi nie będą mogli zadawalać społeczeństwa tryumfami wojny domowej, lecz muszą rozpocząć pracę, działalność polityczną charakteru pozytywnego. Zadanie to spadnie na ich barki wielkim ciężarem. W wiedeńskiej Radzie państwa bowiem stoją oni całkiem odosobnieni, niezwiązani sojuszem z żadną inną partyą, nie mogą więc liczyć na poparcie znikąd. Staroczesi, chociaż tworzyli również opozycyę, ale umieli zyskać sobie jawnych i ukrytych sprzymierzeńców, klub nie miał wiele tajemnych furtek, wyjść i korytarzów, zapomocą których komunikowali się z innymi żywiołami. Nic podobnego nie widzimy u młodoczechów. Zajmują oni w parlamencie wysepkę, do której prócz nich nikt nie zagląda. Zapał jest w polityce siłą drugorzędną. Nic nie poradzą najbardziej płomieniste mowy, jeżeli one nie są wyrazem istotnej mocy, którą w działaniach sejmowych daje tylko liczba. Wolno też przypuszczać, że odejście staroczechów może ujemnie wpłynąć na młodych i wywołać śród nich zróżniczkowanie się i rozkład pierwiastków. Ponieważ zaś nie ma w Europie narodu, któryby się obywał bez „starych,“ więc również te feniksy, prędzej czy później, odrodzą się w Czechach ze swoich popiołów.

Nie całkiem otwarcie, ale półgębkiem Anglia oświadczyła, że z Egiptu ustąpić nie myśli; gdyby to bowiem uczyniła, albo zajęłoby go inne państwo, albo wybuchłaby w nim wojna wewnętrzna. Ani na jedną, ani na drugą możliwość pozwolić ona nie chce. Wierzymy jej najzupełniej. Usunąwszy się z tego ważnego posterunku, pozbyłaby się bezpieczeństwa dla swej drogi do kolonij azyatyckich i australskich, a wreszcie przewagi, jaką jej daje cały szereg stacyj węglowych na brzegach morza Czerwonego, których nie posiada żadne inne państwo. Takiego ciosu śmiertelnego sama sobie nie zada, chyba że go z innej ręki otrzyma. Pragnęłaby ją nim uderzyć Francya, która głównie podnosi sprawę egipską, dotąd wszakże nie czuje w sobie dostatecznej potęgi.

Powędrowawszy w głąb „sfery interesów niemieckich,“ Emin basza znikł i wynurzył się gdzieś w „sferze interesów angielskich,“ w Wadelai. Z tego powodu Berlin oświadczył Londynowi, że nie ma nic wspólnego z tą wyprawą, że jego wysłannik przekroczył dane mu polecenia i działa na własną rękę. Według ostatnich wszakże doniesień, Emin usprawiedliwia się, że do wejścia w sferę angielską zmusiła go konieczność pochodu.

W Serbii odbył się przewrót ministeryalny. Skutkiem niezgody między ministrem skarbu Wuiczem a prezesem Pasiczem cały gabinet podał się do dymisyi i będzie odnowiony świeżemi siłami.

Kongres pokoju rozpoczął w Rzymie swoje obrady, na które zgromadziło się około 200 posłów miejscowych i zagranicznych. Sprawy polityki bieżącej wyłączono, niemcy więc nie potrzebują się obawiać widma Alzacyi i Lotaryngii, które groził im wywołać Bonghi.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ogłoszony został Ukaz, zamykający granicę dla wywozu kartofli oraz wszelkiego zboża, z wyjątkiem pszenicy. Nie tak, jak poprzednio przy zakazie co do żyta, został on wprowadzony natychmiast i przeciął spekulacyi możność dokonywania szalonych obrotów z wielką nieraz szkodą i krzywdą dla potrzeb miejscowych. Ażeby czytelnikowi uprzytomnić olbrzymią doniosłość tego zatamowania w handlu międzynarodowym, przytoczymy kilka cyfr statystycznych. W r. 1889 Rosya wywoziła za granicę:

pszenicy	37,760,679	hektolitrów
żyta	18,996,723	„
jęczmienia	16,360,794	„
owsa	24,260,193	hektolitrów
kukurydzy	4,377,723	„
grochu i bobu	1.115,604	„
różnego zboża	5.729,004	„
mąki	643,779	„

Wartość tych produktów wynosiła około 375,6 milionów rubli, co stanowiło połowę wartości wywozu Rosyi. Ponieważ zaś obecnym zakazem nieobjęta została pszenica, sumę tę więc zmniejszyć należy o 25%.

Cyfry wywozu kartofli znane nam są z lat 1887 i 1888; wtedy wynosiły od 25 do 32,485 tonn (po 1000 kilogramów) w cenie od 582 do 832,000 marek.

Pominąwszy Danię i Holandyę, które stosunkowo przyjmują najwyższy udział w zapotrzebowaniu zboża ruskiego, najgłówniejszym jego odbiorcą są Niemcy, które przed innymi krajami dotknięte zostaną nowym zakazem; zachód bowiem Europy korzysta z przywozu amerykańskiego. W niemieckiej też prasie odezwały się najgłośniej krzyki nie tyle oburzenia, ile obawy i rady, ażeby rząd pomyślał o zabezpieczeniu narodu na przyszłość od podobnych wypadków. Już po zakazie poprzednim zaczęła w Niemczech kiełkować myśl „wyzwolenia się od zboża ruskiego.“ Myśl ta obecnie dojrzała jeszcze bardziej. Czy i w jakim stopniu da się ona urzeczywistnić, nie badamy w tej chwili, zwłaszcza że zastanowimy się nad nią szczegółowo później. To tylko nie ulega wątpliwości, że nieurodzaj w wewnętrznych guberniach Cesarstwa i spowodowane nim zakazy wywozu produktów rolnych stały się przyczyną głębokiego przełomu w stosunkach handlu międzynarodowego i wytworzy w nim całkiem nowe arterye i nowe obiegi towaru. Niedługo zapewne ujrzymy skutki tej przemiany, która na rolniczą produkcyę naszego kraju wywrze wpływ olbrzymi.

BADANIA NAUKOWE.

KAPITALIZM A DZIENNIKARSTWO.

IV.

„Nowoczesna kazalnica“ stała się przybytkiem kapitalizmu. Rozsiadł się w niej najpospolitszy przekupień, zachwalający podobnie swój kramik, jak to czyni wszelki współbrat jego z korowodów Mamony. Kto posiadałby jeszcze jakieś wątpliwości, niech

---

głem czuwaniem oczach, stanąwszy przed nami, spytała:

— Państwo może pragną zobaczyć naszą chatę? Nic tu wprawdzie ciekawego, goście jednak z Westerlandu lubią przychodzić i przyglądać się naszej chudobie...

Odpowiedzieliśmy, dziękując gosposi za grzeczność i prosząc zarazem, aby oprowadziła nas po swojem państwie.

Otworzywszy drzwi, wiodące do izb na lewo, wskazała ręką, abyśmy podążyli za nią.

Wzrok nasz uderzył widok, który mógł był posłużyć doskonale za temat do obrazka staro-holenderskiej szkoły.

Przy dużem weneckiem oknie, wsunięta w głąb wyściełanego fotelu, obok stołu, na którym rozstawione były resztki talerzy, widelców, noży i naczyń, niezebranych jeszcze od obiadu, z pończochą w ręku siedziała staruszka, lat dziewięćdziesiąt, może i więcej mieć mogąca.

Światło słonecznego południa padało migotliwą smugą na jej twarz, szyję i ręce. Ona poddawała mu je, zwracając ku niemu oczy, oddawna zamknięte na wszystko, co zmysłem wzroku pochwycić się daje.

Usłyszawszy kroki nasze, kroki ludzi obcych, które odróżniła odrazu od tych, jakie słyszała w dzień dokoła siebie, opuściła ręce z robotą na kolana, wygięła szyję i twarz w kierunku sieni, z której wchodziliśmy i chrapliwym, tępym, suchym, krótkim tonem głosu, przypominającym całkowicie głos garbuska malarza, spytała:

— Kto tam?

— Cicho, cicho, to nikt straszny — odpowiedziała gospodyni nasza, wskazując nam ozdoby sufitu, któremi zachwycali się zawsze państwo, odwiedzający jej chatę.

Na żółtawem tle, w medalionach, rozsypanych symetrycznie w środku i po rogach sufitu, objętych pasami ozdobnych winiet, przedstawione były stacye mąk Chrystusa z napisami z Ewangelii.

— Czyjeż to dzieło? — spytał Staś, przyglądając się konturom rysunku.

— To malował pradziadek mego męża— odpowiedziała pani stolarzowa. Nasz syn po nim odziedziczył zdolności. Cóż z tego, kiedy tak, jak tamten, nie da sobie nawet wspomnieć o nauce. My z mężem poświęcilibyśmy, co mamy jaki grosz, aby go tylko wysłać do szkoły malowania, ale rzuć ognia, gdy mu to powiedzieć; uparty, zarozumiały, jak dziadek. Zdaje mu się, że posiadł wszystkie nauki i że nikt od niego lepiej nie maluje.

— To szkoda, to szkoda — odpowiedzieliśmy kolejno — syn pani ma rzeczywiście zdolności, których nie powino się zaniedbywać...

— Już to na naszej wyspie — odezwała się w dalszym ciągu gosposia — każdy człowiek ma charakter taki zamknięty w sobie, że trudno coś z niego wydostać. Wszyscy tu myślą i myślą ciągle, a mówią mało. Jeżeli co zrobią albo powiedzą, to wierzą sami sobie święcie, bo im ta robota albo to powiedzenie nie przyszło z łatwością. Ja nie z tej wyspy, więc nieraz widzę, że trzeba by im na to i na owo otworzyć oczy, ale oni nie wierzą: każdy tu sam sobą zajęty. Praca niesporo im idzie: myśleliby tylko ciągle o różnych rzeczach i mędrkowali...

Gosposia, mówiąc z nami, trzymała nas na środku izby, której dwie ściany zajmowały drewniane, wmurowane w nie szafy.

— Co to znaczy? — spytałam, wskazując na nie. Czy tyle macie ubrań, że aż w ścianach musicie je chować?

Gosposia uśmiechnęła się i otworzyła jedną z nich.

Nieprzyjemny odór brudnej, źle przewietrzanej bielizny uderzył nasz węch.

Pani stolarzowa objaśniała, że z dawien dawna w chałupach fryzyjskich istniał zwyczaj urządzania łóżek, jak na okrętach,

zbierze z lat kilku różne „prospekty“ i porówna je z reklamami, wypuszczanemi przez fabrykantów pigułek od wszystkiego i proszków przeciw robactwu. Nie wiem jeszcze, na czyją korzyść wypadłoby niekiedy takie porównanie i która strona taktyczniej zachowywałaby się w wychwalaniu swojego towaru. Naturalnie, prasa, która już i tak pod wpływem orgii pieniężnej z jej życiem nerwowem, z jej urywaniem czasu wszelkiemu spożyciu i poświęcaniem go jedynie „pracy produkcyjnej“ (tj. robieniu geszeftów) ugrzęzła cała w bagnisku reporterki, ulega jeszcze dalszemu zwyrodnieniu dzięki objęciu jej sterów przez żądny zysków kapitał. Nie to, jaki wpływ wywrze pismo na czytelników, czy pobudzi kogoś do myślenia, czy podnieci czyjeś uczucie społeczne, nie to wszystko zaprząta umysł fabrykanta towaru dziennikarskiego, lecz jedynie to, w jaki sposób możnaby rozszerzyć rynek sprzedawczy i wetknąć swój wytwór jaknajwiększej liczbie osób. Te tylko pytania posiadają wartość dla naszego możnowładcy kapitalistycznego. Chociaż sam ateista, połączy on swoją fabrykę z kantorem wpływów duchowych, aby radzić się, czy wolno mu i w jaki sposób poruszyć tę lub inną kwestyę, inny geszefciarz w swem piśmie wykona publicznie błazeński akt skruchy wobec tych samych powag i z tego samego powodu. Jeszcze inny będzie dzisiaj schlebiał nosom garbatym, skoro nikt jeszcze nie zżyma się na nie, one są zaś widomymi znakami mniej widomego bogactwa: jutro, kiedy nosy proste przy swojem węszeniu złota spotkają na drodze tamte i zaczną wyrażać masowo silne niezadowolenie z tej przyczyczyny, pismo odrazu zmieni wyznanie swej wiary estetyczno-rasowej. Prasa na żołdzie kapitalistycznym i w atmosferze kultu Mamony, staje się niby chorągiewką na dachu, obracającą się za każdym podmuchem wiatru, czółenkiem, u którego jakby odłamano ster i które znalazło się na łasce swawolnej fali. „Równomierne popieranie“ wszystkich interesów i powszechne mydłkowanie są godłami takiej prywatnej (tj. nie partyjno-politycznej) fabryki dziennikarskiej, wszelkie zaś „podporządkowywania“ — świadectwem niedowarzonego warcholstwa, zapominającego, że pieniądz w kieszeni to grunt, reszta — głupstwo (czyni się wyjątek, kiedy idzie o podporządkowanie wszelkiego rodzaju hołyszów interesom ludzi, którzy swoją wartość mogą udowodnić w każdej chwili okazaniem sakiewki). Ekonomiści, gorliwi rzecznicy religii kapitału, nietylko udowodnili, że prostytucya jest nieodzownie potrzebną klapą bezpieczeństwa publicznego, lecz nadto wykazali, że jest ona zarobkiem równie szanownym, jak wszelki inny. Nie odważyli się jednak nadać swojej bogini, Mamonie, ruchów nierządnicy i milczeniem pomijają, że korowód Interesu hasa według etyki prostytucyjnej: czcij worek pieniężny, nie pytając o urodę fizyczną i piękno duchowe posiadacza, oddawaj się każdemu, komu brzęczą dukaty w kieszeni, chyl czoło przed każdym osłem, który stąpa obładowany złotem. Prostytucya w stosunkach płciowych, utylitaryzm w moralności, oportunizm w polityce i zasada powszechnego mydłkowania w prasie — są owocami, zrodzonymi na tem samem polu. Jeżeli kiedyś jakiś przyrodnik zechce klasyfikować ludzi z różnych epok dziejowych, jako odmienne gatunki dwunożnego ssaka, członkom orgii kapitalistycznej na pewno nada nazwę zwierzęcia prostytującego się w życiu prywatnem i publicznem, fizycznem i duchowem. Lecz przedsiębiorca dziennikarski nie zadowolił się zamianą fabryki swojej na przybytek nierządu moralnego. Jako wieprz węszy trufle, podobnie on poznaje smak nabywców swego towaru. Dzięki pewnym warunkom, nad którymi zatrzymamy się w dalszym ciągu, wiek nasz jest dobą wyuzdania żądzy płciowej. Otóż kapitalista, który obrał sobie literaturę za środek pobierania zysków, zaczyna systematycznie uprawiać kult podkasanej spódniczki. Gdyby nie czuwanie odnośnej władzy, rynek artystyczny i literacki zostałby zasypany takimi utworami, o jakich ani śniło się owym utopistom, którzy, zamknięci w szpitalu z powodu manii erotycznej, wysnuwają tutaj obrazy odpowiednio urządzonego ustroju społecznego. Reporter, osobistość z natury marna, pod berłem kapitalisty dochodzi do krańcowego upodlenia, a jednocześnie do królowania śród literatów, krytyk estetyczny przekształca się na pornografa. Ukazują się wyżły do węszenia najskrytszych tajników życia prywatnego znanych osobistości. Lecz nie rozgrzebujmy dalej tego błota!

Pod panowaniem wszakże kapitalizmu „redakcya“ zmienia się nietylko na fabrykę pornograficznych wiadomości, plotek i mydłkowania. Staje się ona jeszcze czemś więcej. Wśród tłumów drobnomieszczańskich, zwłaszcza zaś siedzących w odludnem pustkowiu, o które fala wszechwymiany i wszechfrymarczenia uderza wolno i słabo, wyrobił się jakiś szczególny kult drukowanego słowa. Wiara, że pismo jest kazalnicą, literat zaś apostołem prawdy i dobra publicznego, zakorzeniła się dość silnie. Istnieją po temu dość słuszne powody. Udajmy się do jakiegoś Pacanowa, do cennej kryjówki, gdzie wciąż znajdujemy klucze do zrozumienia różnych stosunków rozwiniętego społeczeństwa pieniężno-towarowego. Wiemy, że istnieje tutaj zawsze kilka natur, ulepionych przez matkę przyrodę z lepszej gliny i śmiało protestujących przeciwko otaczającemu ich królestwu sobkostwa, ślimactwa i prowincyonalnej pompalińszczyzny. Ci członkowie wielkiego bractwa myśli krytycznej nietylko tną prawdę prosto w oczy, lecz często sięgają po pióro, aby donieść szerszemu światu o zwyczajach drobnomiasteczkowej rzeszy filisterskiej. Otóż filister według swoich wzorów sądzi o dziennikarzach z wielkiej widowni kankana Mamony i mniema, że każdy „literat,“ a tem bardziej arcykapłan literatów, redaktor, są takimi samymi narwańcami, którzy porzucili ucztę przy korycie, aby warcholić na temat obowiązków społecznych. Rozumie się, panowie fabrykanci towaru dziennikarskiego ani myślą zbijać takiego sądu. Ich dusza, łaknąca więcej zysków, niż zbawienia po śmierci, zwęszyła, że w tem złudzeniu tkwi źródło nowego geszeftu. Owa wiara w prawdomówność drukowanego słowa nadaje dziennikowi wielką władzę nad umysłami prostaczymi. Staje się ona szczególnego rodzaju bezpłatnym odpadkiem produkcyi dziennikarskiej, który można spieniężyć na równi z plotkami i nowinami. „Co pan chcesz? — mówi do kogoś p. Landsteiner, fabrykujący wiedeńską *Presse*. Wszak redakcya jest kramikiem, w którym sprzedaje się jawność!“ A zatem handluje się naganami i pochwałami, insynuacyami i podejrzeniami, milczeniem i wzmianką. Kiedy bohaterzy *Pieniądza* Zoli biorą się do swego rozboju giełdowego, zakładają dziennik jako środek tumanienia opinii publicznej. Każdy wielki bank za granicą i każde większe przedsiębiorstwo posiada własny organ, w braku zaś tego kupuje systematycznie przychylną „jawność“ u jakiegoś fabrykanta nowin i jego sfory reporterskiej. Nawet najpoważniejsze dzienniki polityczne czerpią z tego źródła. Częstość pewnego procederu odbija się w mowie ludzkiej. U koczowników Azyi środkowej kupno dziewczyny jest jedyną drogą dojścia do posiadania żony, wraz z tem powstał szczególny wyraz, *kałym*, dla oznaczenia płaconej w tym celu sumy. Podobnie kapitalizm w prasie pozostawi po sobie w spadku wyraz *Schweiggeldu*, a istnienie jego będzie dla przyszłego historyka podobnie dobrą

---

zawieszonych jedne nad drugiemi i opartych o boki ścian. Z czasem zwyczaj ten przemienił się na wmurowywanie szaf, podzielonych na przegrody i piętra, których ilość zależy od ilości członków danej rodziny. Każdy osobnik zajmuje jedną przegrodę, zaopatrzoną w kołdrę, siennik, prześcieradło i parę poduszek. Starsi śpią na dole, dzieci lub służba wdrapują się po drabinie na górę. Nocą drzwi szafy otwarte, z rana zaś, skoro tylko każdy wyjdzie ze swojej przegrody, zamyka się je natychmiast, a że kobiety fryzyjskie nie cechuje zbyt wielki porządek, często zatem nad wieczorem, przy otworzeniu drzwi szaf sypialnych znajduje się wnętrze ich w tym samym porządku, w jakim opuszczono je z rana, to jest pościel w kłębki zwiniętą, cuchnącą odorem potu z nocy, w którym kąpała się dzień cały, nie mając przewiewu.

Staś pytał, czy wszędzie na wyspie sypialnie w podobny sposób są urządzane?

— Mniej więcej wszędzie, jakkolwiek po trosze zwyczaj ten zaczyna już ustępować miejsca wprowadzaniu zwykłych, jak na stałym lądzie, łóżek...

Nos mój cierpiał mocno. Uciekłam do sąsiedniej, trzeciej z kolei, izby, gdzie uwagę moją zwróciła kolorowa ściana, lśniąca w blaskach południowego słońca.

— Co to znaczy? — pytałam podążającej za mną pani stolarzowej, ręką dotykając powierzchni białych w liliowe i niebieskie kwiaty kafli, którymi wyłożona była cała ściana.

— Zachodnie wichry dokuczają nam nieraz w zimie zwłaszcza lub na jesieni tak bardzo — mówiła nasza gospodyni — że musimy zabezpieczać się przed nimi stawianiem takich ścian, przez które chłód mniej przenika. Mamy na wyspie kaflowych pokojów dużo. Teraz, co dawniejsze kafle z obrazkami, to państwo wykupują. Podobają im się one, choć nie wiem, dlaczego? Mówią, że to starożytność. Każą nam je wyjmować ze ścian i zabierają z sobą, nie bacząc, iż kawał drogi muszą je wieźć. Jakaś pani nabrała tego lata kafli cały kufer; cło musiała płacić za nie na granicy, a jednak wzięła. Różne gusta państwo miewają: my tam tego nie rozumiemy.

Rozmowna nasza gosposia, oprowadziwszy nas po kuchni, której komin przypomniał nam znowu rodzajowe obrazki staro holenderskiej szkoły, rzekła:

— To już i wszystko! Jakiś malarz siedział tu raz w tej kuchni trzy dni i malował ten komin: nie wiem, co mu się tam w nim podobało?

Wracaliśmy, mijając ten sam szereg izb, które zwiedziliśmy już poprzednio.

Gdyśmy zatrzymali się w pokoju o dużem weneckiem oknie, siedząca przy niem niewidoma staruszka podniosła znowu głowę i znowu ochrypłym, tępym krótkim tonem głosu spytała:

— Kto tam?

Z pod pół przymkniętych powiek błysnęły białka oczów, które poruszyła szybko, marszcząc brwi i czoło, jak gdyby wysiłkiem woli chciała przejrzeć nagle.

— Czy matka pani oddawna już nie widzi? — spytałam, gdyśmy wyszli z sieni chaty na małą łączkę, gdzie dwa białe baranki, przywiązane sznurami do słupów, skubały drobną majowej zieloności trawę o silnym odurzającym zapachu.

Gospodyni nasza machnęła ręką.

— Proszę pani — odpowiedziała — to dziwna historya: kto nie był przy tem, trudno, żeby uwierzył...

Spojrzałam na nią pytająco.

Ona obróciła się, badając, czy kto nie nadsłuchuje rozmowy naszej; następnie przysunęła się do mnie jaknajbliżej i zaczęła szeptać mi do ucha:

— Pani widziała naszego syna? Biedny, przyszedł na świat z twarzą starego człowieka; odrazu wszyscy mówili mi wtedy:

pędził dalej. Goniący zwyciężyli, rozegnali przyjaciół Dżygita i znowu pędzili za nim. Młodzieniec, starając się pogoń zbić z tropu, popędził w góry, dopadł owego zamku i tutaj, zrozumiawszy, że wespół z dziewczyną nie zdoła umknąć, samemu zaś honor i miłość na to nie pozwalały, zaproponował jej rzucić się z nim ze skały i umrzeć. Narzeczona przystała. Dżygit puścił konia wolno, który widząc wrogów, poleciał do swego aułu jak wicher. Narzeczeni zaś pożegnali się uroczyście, stanęli nad urwiskiem: raz, dwa, trzy!.. Młodzieniec rzucił się naprzód, dziewica zaś cofnęła się... On zginął, ona wróciła ze swemi do domu.

Dziś zamek Zdrady i Miłości jest ulubioną przechadzką dla ciekawych, zresztą i chorzy poczytują sobie za obowiązek choć raz go zwiedzić.

Lubiący silne wrażenia jadą na wyżyny Bermamyckie. O 40 wiorst od Kisłowodzka wznoszą się skały wysokie 8,600 stóp, z północnej pochyłej strony można na nie wjechać prawie bez trudu, nie dostrzegając 6,000 stóp, stanowiących różnicę poziomu Kisłowodzka i Bermamyta. Za to od południa skała, stojąc prostopadle, rozpościera przed wzrokiem uroczą dolinę, gdzie pasące się konie z góry wydają się mrowkami. Za doliną zaś o 5 — 6 wiorst od widza stoi olbrzym Kaukazu-Elborus... Przepraszam, trzeba wiedzieć, że od Bermamyta do Elborusa 40 wiorst, lecz naprożno byś upewniał człowieka, co nie był w górach, że jest choćby dziesięć. Oto jak na dłoni wszystkie załamy skał, można dostrzedz nawet kreski na śniegu. Złudzenie jednak znika, gdy spojrzysz w dobrą lunetę. To, co się wydawało załamem, jest olbrzymiem urwiskiem, szramy przeistaczają się na szerokie parowy i przepaście... człowiek trwoży się ogromem widoku. Górale twierdzą, że tam wysoko, gdzie wierzchołek nakształt garbu wielbłąda rozdwaja się, siedzi duch gór kaukazkich przykuty przez bohaterów do skały. Gdyby się oderwał dziś, gdy bohaterów nie starczy, całą ziemię by zwalczył. Nie mogąc oderwać się, poprzestaje na tem, że nikomu pod karą śmierci nie pozwalała wstąpić na wierzchołek góry.

Jeżdżą na Bermamyt zwykle z taką rachubą, aby o wschodzie słońca być na miejscu. Oto zorza rumieni się, a przed okiem widza jeno mgła i jakieś cienie... W tem z głębi mroku wynurza się biało-rumiany wierzchołek Elborusa... Linia światła posuwa się zlekka w dół i połyskują już grzbiety pomniejszych gór, a Elborus przywdział suknię tęczową. Jeszcze chwil kilka — słońce wynurza się i groźny łańcuch zarzuca z swych bark szatę mroku. W dali, jak oko sięga, widnieją minarety, kopuły, baszty, zamki, świątynie!.. Złudzenie, są to masy skał, dostrzeganych przynajmniej na 300—400 wiorst. Najwspanialsza ludzka budowa zdawałaby się tu mniejszą od kretowiska. Jeśliby dorzucić do tych mas Bałkany, nie uczyniłyby zbyt widocznych zmian... Obecny tu geolog zawołał: Wiele widziałem gór, nieraz byłem na samym Elborusie, lecz tak wspaniałego widoku ani się domyślałem. Co tu poradzi najśmielsze pióro, najwykwintniejszy pędzel!

Wracając do domu, podróżni zatrzymują się u parowu, noszącego miano: „Hryszkina bałka" (Parów Grzegorza). Wybraźmy sobie, że ktoś wyrwał z głębi górę Elborus i osadził ją na grzbiecie Kaukazu, dołu zaś, skąd zaczerpnął materyał, nie zasypał... Dół ów stanie się parowem, podobnym do *Hryszkina bałki*. Zejść do tej doliny w pewnych miejscach dosyć jest łatwo, lecz powrócić nazad mogą tylko kozy i karaczaje z sąsiedniego aułu.

Ciekawsi nie zadawalają się jednak widokami, lecz lubią dotknąć Elborusa własną stopą, dotrzeć przynajmniej do granicy śniegów (około 10 tysięcy stóp), zbadać górę „Sułtan" leżącą u podnóża Elborusa. Dziwna to góra! Na jej pochyłości i w sąsiedztwie powtarzają się prawie wszystkie wody mineralne, jakie są na wspomnianych grupach. Nar-zan tutejszy jest źródłem niemniej ogromnem, lecz bardziej szumiącem. W porównaniu z Kisłowodzkiem Nakranem nazwano go ciepłym, chociaż nie dosięga 15 stopni.

Zauważę, iż kto nie widział lodowców, żadne opisy mu nie pomogą. Trudno sobie wyobrazić owe garby, kotły, których dna nie można dojrzeć, a dokąd ścieka woda z powierzchni lodu; szczeliny tu się rozwierają jak przepaści, owdzie znów ścierają się, kruszą, a w końcu lodowca kamienne masy kryształiczne leżą niby drzazgi.

Dojechać, a tembardziej dojść do owego miejsca łożyskami strumieni jest rzeczą prawie nieuciążliwą. Od granicy śniegów dopiero zaczyna się trud niezmierny, który udało się przezwyciężyć dotychczas i dotrzeć do wierzchołka dwom — trzem osobom. Zresztą świadków nie było! Zato do pewnej wysokości 15—16 tysięcy stóp badacze i kury górskie lubią docierać. Po za tem dla nauki i życia nie wiele zostaje; mniemałbym tedy, że upór śmiałków nie opłaci się.

N. B.

K A R T K I.

Rola obłudy w rozwoju społecznym. Amerykanin John Mc Elroy (w *Popular Science*) podjął się dowiedzenia oryginalnej rzeczy, mianowicie, że obłuda odgrywała w rozwoju społecznym rolę nader dodatnią i pożyteczną. Posłuchajmy jego wywodów. Wychodzi on z założenia, że udawanie cnoty, jakkolwiek mało posiada wartości w porównaniu z cnotą istotną, jest jednak postępowaniem społecznie użyteczniejszem, niż otwarte przyznawanie się do uczuć antispołecznych. Byłoby pożądanem, aby wszyscy odznaczali się dobrocią i posiadali charakter podniosły, lecz większość nigdy nie dojdzie do tak wysokiego stopnia moralności, a jeżeli dojdzie, okaże się wtedy, że niektóre osoby posunęły się jeszcze dalej. Moralność bowiem wciąż roztacza przed swymi wyznawcami coraz dalsze a szersze widnokręgi. Zawsze więc będą istnieć przodownicy, a za nimi ciągnąć się będzie rzesza maruderów. Obłuda jest środkiem, za pomocą którego ludzie naśladują wzory wznioślejsze, jakimi natura ich nie jest zdolna przejąć się do głębi. Tą drogą pewne postępowanie lub wymaganie moralne zyskuje w społeczeństwie prawo obywatelstwa i powoli wrasta w zwyczaj. Nikt nie stał się gorszym, ponieważ zaczął naśladować pozornie cnotę. Przeciwnie, zawsze istnieje pewne prawdopodobieństwo, iż dzięki temu można nabyć pewnych zalet. Między innemi autor staje w obronie faryzeuszów. Niewątpliwie byli to, jego zdaniem, potężni krzewiciele wyższej kultury moralnej pomiędzy żydami. Napierali oni silnie na obowiązek moralniejszego życia i dawali odpowiedni przykład — chociaż nieszczery. Tłumy naśladowały ich czyny i chyliły głowę pod ich wymaganiami. W ten sposób podnosiły się same zwolna na wyższy poziom. Dla udowodnienia tezy swojej, Mc. Elroy powołuje się na kilka wypadków dziejowych. Przypomina on przedewszystkiem skutki średniowiecznej grzeczności obłudnej względem kobiet. Weszło wtedy w zwyczaj składanie hołdów każdej kobiecie, zwłaszcza młodej i przystojnej, a nadto z „dobrego" domu. Czynił to najbrutalniejszy rycerz, pod wpływem opinii publicznej, kłamiąc obłudnie, lecz zwolna przyzwyczajał się do powstrzymywania swego grubiaństwa. W ciągu kilku pokoleń rycerskość względem dam stała się cnotą ogólnie szlachecką. Podobnie czystość ciała upowszechniła się w znacznym stopniu pod wpływem tych samych czynników. Jeszcze dzisiaj można spotkać wiele osób, które nie posiadają najmniejszego zamiłowania czystości, a jednak myją się i piorą bieliznę i czyszczą ubranie, byleby tylko nie zdradzić swego wstrętu do tej zalety. Jeszcze lepszego przykładu dostarczają dzieje nawracania barbarzyńców w w. VI—VII. Misyonarze ówcześni, gdyby działali świadomie, zasługi waliby istotnie na miano wielkich psychologów. Poprzestawali pierwiastkowo na tem, aby nawróceni odprawiali praktyki zewnętrzne, a nawet posunęli się tak daleko, że na zrębach dawnych bożnic pogańskich stawiali kościoły i zgromadzali lud na obrzędy, wiedząc, że on zbiera się może dla uczczenia dawnych bóstw. Przyzwyczajenie jednak usunęło po kilku pokoleniach obłudną i upowszechniło szczerą wiarę w bogów chrześciańskich.

Kongresy oryentalistów i folklorzystów. W Londynie odbył się zjazd oryentalistów. Doszedł on do skutku „wśród szczęku oręża." W łonie bowiem zainteresowanych powstały dość silne spory, kiedy mają się zebrać. Część pewna z M. Mullerem na czele chciała zgromadzić się dopiero w r. 1892; inna, idąc za głosem dr. Leitnera, wyznaczyła wrzesień tegoroczny i — dotrzymała słowa. Ma się rozumieć, niezgoda taka odbiła się na liczbie uczestników. Instytucye urzędowo-naukowe, specyalnie zajmujące się studyami w zakresie stosunków Wschodu, odmówiły wysłania swoich przedstawicieli, tak, iż angielskie *Athenaeum* kładzie w usta jednemu z obecnych uczonych niemieckich uwagę, że był to zjazd oryentalistów, lecz bez oryentalistów. Rzeczywistą ozdobę kongresu stanowili nie specyaliści, jak dotychczas, lecz podróżnicy i poszukiwacze źródłowi — np. Bellow z odczytem o stosunkach pomiędzy Afganistanem a historyczną Helladą; Halliburtow, który mówił o swoich badaniach nad pygmejami w Afryce północnej; Fawcett, podający wiadomość o swoich odkryciach archeologicznych w południowej części Indyj przedgangesowych. Zresztą niezgoda dała się uczuć jeszcze w inny sposób. Kongres rozdzielono na sekcye w liczbie kilkudziesięciu, winny one były zająć się specyalnemi pytaniami. Zdaje się, iż materyału zabrakło i trzeba było milcząco zwijać sekcye, odczyty zaś wcielać do ogólnego posiedzenia.

W miesiąc później, tj. w początku października, rozpoczął się drugi międzynarodowy zjazd folklorzystów, również urządzony w Londynie. Zasługuje on na uwagę poruszeniem kilku pytań, dotyczących metodologii folkloru. Został zagajony mową A. Langa, który w ogólnych zarysach skreślił obecne zadania nauki folklorystycznej i poddał ironicznej krytyce panujące w nauce uprzedzenie, że rasa biała jest przybytkiem wyjątkowym wśród ludzkości; w podobny sposób potrącił o teorye, usiłujące w mitach widzieć opowieść np. o słońcu. Zjazd wyłonił z pośród siebie trzy sekcye: podaniową, mitologiczną oraz zwyczajowo-instytucyjną. Zasługują na bliższą uwagę rozprawy, toczące się wśród członków pierwszej z powodu odczytu Hartlanda. Chodziło o sposoby i warunki zapożyczania podań przez jedne ludy u innych. Prelegent wychodził z założenia, iż każdy okres kulturalny posiada właściwe sobie podania i na zasadzie tego dowodził, że zapożyczanie tylko wtedy jest możliwe, kiedy przyjmujący stoją na tym samym szczeblu kultury, co ci, u których się one zapożyczają. Newell wystąpił z silnymi zarzutami przeciwko temu, opierając się na danych, zebranych w Massachusets. Wywiązały się gorące rozprawy. Podobnie metodologiczną kwestyę wniósł Rhys, otwierający sekcyę mitologiczną. W zwyczajowo-instytucyjnej, otworzonej przez F. Pollocka, zaznaczymy odczyt Winternitza o indo-europejskich obrzędach weselnych, Gommea o żywiole niearyjskim w urządzeniach brytańskich i Tuppera o feodalizmie w Indyach.

Melodye zwierzęce. Ostatnimi czasy wzięto się do zbierania melodyj świata zwierzęcego. Przejrzeliśmy właśnie dwie próby tego rodzaju. Jedna, niejakiego Simona Pase Cheney, poświęcona została ptakom. Najwięcej miejsca zajęło skreślenie melodyj kogucich za pośrednictwem zwykle używanych w muzyce znaków. Melodye te, rozumie się, są zastosowane do okoliczności. Inaczej wita kogut wschód słońca, inaczej zwołuje swoją gromadkę. Zwłaszcza gdakanie kury, gdy wesoła i rada zerwie się po zniesieniu jajka, została oddana szczegółowo. Cheney porównywa drobiazgowo nasze gamy i akordy z na-

stępowaniem tonów u kogutów i kur. Z kilku innych ptaków wspomnimy jeszcze o uwzględnieniu zwyłej kukułki. Melodya jej jest nader jednostajną. B. Franceschini poszedł jeszcze dalej w poszukiwaniu, bo zwrócił się aż do owadów i między innem innemi wynotował zwykłą piosnkę jednego owadu amerykańskiego. Zaznaczymy jeszcze, że widzieliśmy już próby podobnego notowania tonów i szmerów martwej przyrody: uderzenia fal morskich, szelestu ruczajów itd.

Szkoła etyki stosowalnej. Pod powyższą nazwą powstał szczególnego rodzaju wyższy zakład naukowy w pobliżu Bostonu. W naszym języku ochrzczonoby go mianem instytutu nauk społecznych, zastosowanych do życia, bo „ethics" właśnie odpowiadają temu pojęciu. Prof. Adams wykładał dzieje kapitalizmu (czyli „społeczeństwa przemysłowego") w Anglii i Ameryce, Andrews zaś rozpatruje jego strony ujemne wraz z projektowanemi reformami przeciwko dzisiejszym niedomaganiom społecznym. Z pośród innych wymieniamy katedry kooperacyi, ustawodawstwa fabrycznego, kwestyi rolnej, mieszkaniowej w Paryżu i Londynie. Po za fakultetem ekonomicznym istnieć będzie jeszcze inny, zajmujący się wykładami z dziejów religii — pod kierownictwem prof. Toy'a, oraz etyczny, którego kierunek objął prof. Adler. Opłata za cały kurs wynosi 10 dolarów. Kto chciałby zasięgnąć bliższych informacyj, otrzyma je od prof. H. C. Adams, 1602 Chestnut street, Filadelfia, Pa.

LIBERUM VETO.

Święto umarłych. — Rozmaite jego postacie. — Rysy ogółu odbijające się w tłumie. — Nasze zaduszki. — Zabawa listopadowa i żale nadgrobne. — Po co w niej uczestniczą cierpiący. — Nadużycia żokiejów. — Okoliczność łagodząca ich winę. — Dziwni lekarze. — Recenzenci teatralni wyręczający uczonych. — *Przeszkoda* Daudeta i lekcye o dziedziczności. — Beletrystyka i nauka. — Widz w sali sądowej.

Gdziekolwiek ludzie występują większą masą, wszędzie ujawnią znamienne rysy ogółu. Jaka jest jego natura, jakie życie, odgadniesz odrazu, przypatrzywszy się zarówno tłumnemu orszakowi pogrzebowemu, jak widokowi tłumnej zabawy lub uroczystego pochodu. „Święto umarłych" pod tą lub inną postacią istnieje na wszystkich stopniach cywilizacyi i we wszystkich religiach, zwłaszcza tych, które ciałom nieboszczyków wyznaczają osobne miejsca. Jest to objawem dość naturalnym, że żyjący, obok jednostkowej pamięci lub czci dla grobów, ustanawiają jeszcze pewien dzień wspólnego obchodu i odnowionej żałoby. Ale chociaż uczucia rodzące tę uroczystość są prawie wszędzie jednakie, jej forma zależy od usposobień i właściwości każdego narodu. Tak np. w Niemczech zaduszki są przeważnie ofiarą z kwiatów. Cały cmentarz zamienia się wtedy w jeden barwny i wonny kobierzec, z pod którego ledwie tu i owdzie wygląda jakaś naga, biedna, opuszczona mogiła. O ile zauważyłem, ludność stara się zachować w tym zwyczaju dużo poezyi i powagi. Oba te pierwiastki są jedynymi, które ozdobić mogą taką pamiątkową chwilę smutku. Śmierć rozpościera płaszcz swego majestatu po miejscu wiecznego spoczynku. Chociażbyśmy najchłodniej uświadomili sobie, że na cmentarzu leżą nietylko ciała i prochy ludzi dobrych i zasłużonych, lecz także łotrów, niegodziwców, krzywdzicieli, wstąpiwszy w te ciche, milczące ustronie, jeżeli nawet nie mamy w niem własnej drogiej relikwii, doznajemy jakiegoś skrzepnięcia serca, owiewa nas tchnienie wielkiej boleści, która zdaje się wydobywać stłumionym jękiem z pod ziemi i która odzywa się głośno na niej z piersi, opłakujących niezapomniane straty. Odpowiednio do tego nastroju radzibyśmy w uroczystościach cmentarnych nie dostrzegać i nie słyszeć widoków i tonów, które ją mącą lub wprost znieważają. Otóż tych rozdźwięków jest w naszych zaduszkach zbyt wiele. Pomijam dość pogodne lub nawet wesołe wyrazy twarzy gromad, tłoczących się do tramwajów z krzykiem, śmiechem, zadowoleniem, jak gdyby na wycieczkę zamiejską, bo większość ludzi, zanim wstąpi w swoją smutną rolę i wejdzie na scenę, umie być w garderobie wesołą. Ale jakiż obraz przedstawiają Powązki! Pod murem, obok wieńców mogilnych, ciągną się długim szeregiem, niby na placu igrzysk ludowych, kramy z łakociami i bufety dla publiczności, która przecie nie może się bawić głodna. Wewnątrz cmentarza legion dziadów obnaża swoje kalectwa i wszelkimi sposobami reklamy żebraczej usiłuje wydobywać z przechodniów jałmużnę. Po alejach i ścieżkach spacerują tłumy ludzi, widocznie przybyłych dla rozrywki. Na ich ustach błyskają nieraz żywsze uśmiechy, niż na mogiłach lampki, dowcip ściga się z chichotem, zalotne spojrzenie spotyka się z kuszącem słówkiem, tu i owdzie dym papierosa miesza się ze swędem iluminacyi, słowem, dość ożywione i wesołe *corso*, które, gdyby nie nagrobki, a zwłaszcza pochylone przy nich płaczące postacie, nie nasunęłoby nikomu myśli, że ruchliwe nogi przechodniów depczą po ziemi pełnej trumien i ciał umarłych. W tem właśnie—jak zaznaczyłem na wstępie—odbijają się charakterystyczne rysy naszej natury. Nie możemy nigdy zapomnieć o jedzeniu i nie umiemy nawet smucić się bez zabawy. Za wiele ciśnie się codzień dowodów tego „przeznaczenia," ażebym kusił się o osłabienie morałem jego potężnej siły. Chcę tylko zapytać rzeczywiście bolejących, którzy płacząc nad grobami, w gwarze spacerującego, jedzącego, palącego, śmiejącego się tłumu, rzucają swoje skargi rozpaczne, czemu oni uczestniczą w takim obchodzie i nie wylewają łez samotnie, bez rozbawionych świadków? Zdawałoby się, że kto raz był na Powązkach w dzień zaduszek, ten może tam pójść znowu z zamiarem gapia, ale nigdy z tęsknotą cierpiącego serca. Jednakże są ludzie, którzy corocznie w ten dzień odwiedzają mogiły istot ukochanych i śród publiczności Saskiego lub Botanicznego ogrodu obnażają swe żale. Skłania je zapewne do tego myśl, że jest to chwila bliższego, niż zwykle, obcowania ze zmarłymi. Jak rzekłem, nie mam pretensyi do zepsucia warszawiakom i warszawiankom ulubionej zabawy listopadowej, przypuszczam wszakże, że prawdziwie cierpiący byliby im bardzo wdzięczni za pozbawienie jej przynajmniej cech zbyt jaskrawych. Nawet po usunięciu bufetów, po umiarkowaniu dobrych humorów, zgaszenia papierosów, a wreszcie usunięciu chóru żab żebrzących — spacer po alejach powązkowskich miałby jeszcze dosyć uroku dla tych, którzyby je 2 listopada przenieśli nad Ujazdowskie.

Jednym z głównych przedmiotów rozmowy podczas przechadzki po ulicach „miasta umarłych" była niewątpliwie sprawa odkrytego oszustwa żokiejów na wyścigach peszteńskich. Zajęła ona bardzo Warszawę, ktora, jak wiadomo, posiada tylu „sportsmenów w gumie," ile par noszonych kaloszów. Niektórzy z nich, zwłaszcza ci, co zastawiwszy paltoty i zegarki w lombardach, z czczymi żołądkami przegrywali pieniądze w totalizatorze, „obstawiając faworytów," zaczynają rozmyślać, czy również nie padli ofiarą podobnej zmowy i postanawiają dobrze wytrzeszczać oczy przy następnych gonitwach. Wątpliwość słuszna, a ostrożność całkiem uzasadniona. Bo jeżeli od brzegu do brzegu Europy rozległ się okrzyk zgrozy na winowajców węgierskich, dlaczegoż by u nas nie miał odbić się mocnem echem, u nas, gdzie każdy fryzyerczyk jest „sportsmenem," a każdy czworonożny zwycięzca z toru wyścigowego — bohaterem narodowym. Bo czyż który z was, czytelnicy, nie uczuł, jak jest małym wobec Przedświta, Gierdawy lub Cadiego? Zachodzi wszakże mała okoliczność łagodząca, którą w potępieniu żokiejów uwzględnić należy. Anglicy powiadają, że wszelki zakład jest umową oszusta z głupcem. Otóż sądzę, że z grających w totalizatorze co najmniej $^9/_{10}$ wolałoby „poprawić fortunę," niż zbezcześcić swój rozum. Przypuśćmy, że każdy z nich zdobędzie nieprawym sposobem tajemnicę, która mu da niezawodną pewność tryumfu jakiegoś konia. Czy na niego nie postawi dużej sumy i czy cofnie się od gry? Nie sądzę. Co robili żokieje? „Poprawiali fortunę" i stawiali na tego konia, który niewątpliwie miał zwyciężyć. Mojem zdaniem, zamiast gniewać się na bakterye w gnijącem mięsie, daleko rozumniej zabezpieczyć mięso od gnicia, a gdy zepsute — wyrzucić. Innemi słowy: zamiast chwytać zdrożności w totalizatorze, lepiej go znieść. Domagać się cnót w przybytkach zakażających namiętności ludzkie — jest to żądać od kałuży, ażeby była czystym zdrojem. Bezmyślna i zabawna moralistyka Katonów rozpitej szałami cywilizacyi naszej chce koniecznie w ramy występku oprawiać cnotę. Nie leczy organizmu z choroby wewnętrznej, lecz złorzeczy ciału, na które wystąpią pryszcze. Skutkiem tego jest najbardziej śmieszna wtedy, kiedy jest najbardziej surowa.

Dziedzina naukowa literatury naszej jest jałowa, zapuszczona i taka jakaś martwa, że gdy w nią wejdziesz, ogarnia cię cisza i chłody podbiegunowe. Organy poświęcone wiedzy są poważne, ale tą powagą rabiniczną, która rozcięła już wszystkie węzły gordyjskie niewzruszonymi pewnikami, nie doznaje wątpień i cierpień Fausta, nie porywa się do sporów, lecz stoi zawsze gotowa do kazań i klątew. Nie ma tu wrzącego życia, ostrego ścierania się zdań, natężonych wysiłków myśli, pragnącej przeniknąć tajemnice; magowie są spokojni i tylko od czasu do czasu prostują błędy niebiegłych w „mądrości." A tymczasem na szerokim świecie odwieczne zagadki pozostają nierozwiązane, niezmordowana pracowitość badaczów wynajduje coraz nowe, najrozmaitsze domniemania, hipotezy, odkrycia, wywody i wnioski wytwarzają ruch ciągły, nieraz gorączkowy i gwałtowny. O tym ruchu dowiadywalibyśmy się zaledwie ze słabych i późnych odgłosów, gdyby nie nasi sprawozdawcy i krytycy... teatralni. Tak jest. Autorowie dramatów i komedyj, szczególnie francuscy, ograwszy najdrażliwsze strony skandalu i wyczerpawszy najmożliwsze kombinacye romansu lub wiarołomstwa, zwracają się po motywy do nauki, którą równie dobrze rozumieją, jak zaklęcia kabalistyczne. Ten bierze „wibryona" społecznego, inny hypnotyzm, inny zwyrodnienia fizyczne, inny dziedziczność, i z tych kwaśnych jagód wyciskają swoje szumiące soki. Gdy ich utwory przejdą na naszą scenę, krytycy nie poprzestając na ocenie artystycznej, miewają przytem wykłady naukowe o „tezach." Wtedy nagle zmartwychwstaje przed nami cały świat zagadnień wiedzy, mistrze zaczynają nam mówić o wolności woli, determinizmie, doborze naturalnym i płciowym, przekazywaniu się usposobień rodziców na dzieci itd., przyczem powstaje nieraz walka sądów, która nam zastępuje rozprawy i spory w organach naukowych. Zapewne, jest to zwykłe malowanie obrazów nogami w braku rąk, ale dobre i to. Właśnie w tygodniu ubiegłym sprawozdawcy teatralni dali nam szereg lekcyj o dziedziczności z powodu wystawienia w teatrze sztuki Daudeta p. t. *Przeszkoda*. Ową przeszkodą do małżeństwa jest dla bohatera to, że jego ojciec umarł obłąkanym. Nie jednego konia z rzędem, ale wszystkie konie Arabii możnaby dać temu, ktoby wykrył, czy autor wierzy w dziedziczność psycho-fizyologiczną, czy też nie, a również całe tabuny

możnaby ofiarować odgadywaczowi myśli naszych krytyków w tym przedmiocie. Zarówno on, jak oni są w położeniu owej dziewczyki, która to mówiła, czy śpiewała: i chciałabym i boję się. Zaprzeczyć faktowi biologicznemu, stwierdzonemu przez tylu i tak poważnych uczonych — nie wypada, trochę nawet wstyd; z drugiej znowu strony oświadczyć się za spadkobraniem usposobień i „determinizmem“ (w naszej filozofii są to zjawiska i pojęcia identyczne) — nie pozwala prawomyślność i wzgląd na czytelników, którzy mogliby taki pogląd dziennikarza uznać za ciężką dla siebie obrazę. Najlepiej więc pochylić głowę na prawo, a potem w równym odstępie na lewo i piskorzowym sposobem wyślizgnąć się z rąk czytelnika, który pozostanie przekonany, że miał w dłoni rybę, ale ją stracił dzięki swej własnej nieostrożności.

Pomimo więc, że Daudet mocą i urokiem swego talentu podjął kwestyę dziedzictwa fizyologicznego, a nasi sprawozdawcy rzucili w nią promienie swej wiedzy, niech się zgłosi po nagrodę ten, kto, wysłuchawszy komedyi i przeczytawszy jej oceny, poczuł rozwidnienie w swojej głowie. Ale tego rezultatu nie uważajmy wcale za niepomyślny. Przeciwnie, poparł on nowym dowodem tę ważną, a często zapomnianą prawdę, że ani dramaturgowie lub komedyopisarze, ani krytycy teatralni nie mają żadnego głosu w nauce i tylko bawią się jej hypotezami tak, jak dzieci barwnemi szkiełkami. Chociaż Schopenhauer w swej rozprawie o woli powołuje się na Shakespeare'a, żaden poemat nie rozszerzył sfery poznania ludzkiego i nie rozstrzygnął zagadki naukowej. Można autorom tego rodzaju wybaczyć, pozwolić, wreszcie pochwalić oświetlenie swych utworów blaskami umiejętności, ale nie należy od nich wymagać rozwiązywania zadań, którym tylko badacze są zdolni podołać. Wielki Daudet jako powieściopisarz lub dramaturg jest maleńkim Daudetem jako filozof. Czy dziedziczność psycho-fizyczna istnieje, czy nie, o tem on tak mało może nam powiedzieć, jak o tem, czy światło jest odmianą ciepła. Należy bowiem w przybytku wiedzy do publiczności, której wolno tylko usiąść w ławce i słuchać, jak sędziowie wyrokują, a gdyby chciał im narzucić swoje zdanie, każą go wyprowadzić z sali.

Poseł Prawdy.

PRASA RUSKA.

Warszawskij Dniewnik przytacza następującą przemowę ministra oświaty do studentów instytutu w Nowej Aleksandryi:

„Bardzo mi przykro, że znalazłem w instytucie niepełny komplet słuchaczów; dawniej było ich około 380, a teraz niespełna więcej, niż 60; gdzie się podziała reszta? Wydaleni zostali i uwolnieni, a wielu, chcąc pokazać swoją solidarność z usuniętymi, jak widać z wniesionych przez nich podań, sami opuścili zakład.

Jakież są przyczyny tego dziwnego objawu? Tkwią one w tem, że wydaleni, uwolnieni i ci, którzy prosili w r. 1890 o zwolnienie, zamiast stosować się do wskazówek zwierzchności i nauczycieli, pragnących ich dobra, słuchali rad dawanych im z zewnątrz, ze strony występnych i zdemoralizowanych agitatorów. A teraz ci sami ludzie, którzy w zaślepieniu nie chcieli słuchać rad dobra i prawdy, odwołują się do mnie, do kuratora okręgu naukowego i do dyrektora zakładu z najpokorniejszemi, a nawet upokarzającemi prośbami, błagając o przyjęcie ich znowu do instytutu i usprawiedliwiają się, że w zaburzeniach mieli udział tylko bierny, a nie czynny. Zapominają oni przytem, że samo już niewykonanie polecenia, ażeby *rozeszli się*, gdy tego wymaga mająca władzę, jest zuchwalstwem i jako zuchwalstwo nie może być ścierpiane, z samego poczucia obowiązku. Przebaczyć takim nieposłusznym, choćby się szło za popędem serca, niepodobna, oni bowiem szkodliwy wpływ wywierają i na swoich kolegów.“

Następnie hr. Delianow dodał:

„Cobyście, przyjaciele moi, powiedzieli o mnie, gdybym, stojąc z wami w ogrodzie, zechciał dostać ręką do dachu tego ogromnego budynku? Mielibyście mnie z pewnością za waryata i kazalibyście leczyć. Tak samo miejcie za waryatów tych, którzy wyobrażają sobie, że zebrawszy się w liczbie 300, 600, a nawet kilku tysięcy ludzi, mogą nastraszyć rząd, działający w imieniu i z wolą Najjaśniejszego Pana i że mogą zmusić go do postępowania drogą nie przez władzę Najwyższą wskazaną, lecz drogą wytkniętą przez młodzież, siedzącą na ławie szkolnej. Wyższy zakład naukowy jest właśnie tylko szkołą, gdzie wy podlegacie wyższej idei pracy naukowej i porządku moralnego.

Mówię wam to wszystko, pragnąc jaknajszczerzej ustrzedz was od nieszczęścia,“ dodał minister i przypomniał młodzieży, jak często synowie, nierozsądnie postępujący, sprawiają strapienie rodzicom, nieraz od ust sobie odejmującym wszystko, byleby tylko dać synowi możność ukończenia kursów naukowych.

Na zakończenie minister życzył studentom, ażeby pomyślnie ukończyli kursa, pamiętając na jego rady, jako pochodzące od osoby, która szczerze pragnie dla każdego z nich dobra.“

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Z powodu dziesięcioletniego istnienia tramwajów w Warszawie, Towarzystwo belgijskie ma założyć kasę pomocy oficyalistów tramwajowych. Ustawa jest już podobno opracowywana.

— Wydział inspekcyi fabrycznej w Warszawie zażądał od komitetu budowy kanałów i wodociągów poddania się kontroli inspekcyjnej nad robotnikami, zatrudnionymi przy kanalizacyi.

— Nad chłopcami sklepowymi w Warszawie, pozostającymi w charakterze uczniów czyli praktykantów, będzie rozciągnięta baczna kontrola ze strony zgromadzenia kupców. Sprawdzono bowiem, iż wielu właścicieli sklepów przyjmuje uczniów, zapewniając rodzicom i opiekunom wyzwolenie ich w określonym terminie na subjektów. Tymczasem nie są oni wcale zapisani na uczniów i nie uczęszczają do szkoły niedzielnej handlowej. Nadal w razie wykrycia nadużyć zwierzchnicy sklepowi będą pociągani do odpowiedzialności sądowej.

— W promieniu kilku mil od Warszawy — jak donosi *Kur. warsz.* — jakiś oszust obchodzi domy włościan i wyrobników, oznajmiając, że ma upoważnienie do sprowadzania emigrantów z za oceanu. Rodziny, mające swych krewnych w Brazylii, oddają grosz ostatni oszustowi.

— Właściciele ślizgawek w Warszawie będą opodatkowani w nadchodzącym sezonie na rzecz teatru 6% i miasta 3% od dochodu.

— Polecono urzędom lekarskim zgromadzić i przesłać do departamentu w możliwie krótkim czasie wiadomości o składzie osobistym aptek.

— Amerykanie zbierają podpisy na rzecz dotkniętych głodem w Rosyi. Będą nabyte produkty zbożowe, przeważnie żyto i wysłane specyalnie naładowanymi statkami do Rosyi. Również we Francyi i Niemczech są zbierane w tym celu podpisy.

— *Saale Zeitung* donosi, iż mężczyźni pozostający w poufnych związkach z prostytutkami o ile są obcej narodowości, będą wydaleni z Berlina jako szkodliwi dla dobra ogółu.

— Francuski projekt prawa o ukróceniu prostytucyi nakłada karę do dwóch lat więzienia i grzywnę do 1,000 fr. na osoby ułatwiające prostytutkom ich proceder przez wynajem mieszkań itd. Osoby, utrzymujące pokątne związki z prostytutkami dla korzystania z ich dochodów, karane będą więzieniem do lat pięciu, potem na lat pięć wydalane z miejsca praktyki. Celem ukrócenia nieprzyzwoitych publikacyj wydane będzie osobne prawo.

— Emigracya ludności galicyjskiej w jesieni do Ameryki wzmogła się. We wrześniu i październiku kilka tysięcy osób wyjechało przez Oświęcim do Hamburga i Bremy. W ciągu r. b. policya powstrzymała wychodźców, nieposiadających na drogę funduszów około 1,000.

— We Lwowie Towarzystwo wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych liczyło w końcu września członków rzeczywistych 2,404, uczestników 38, członków wspierających 99, honorowych 10. Majątek Towarzystwa wynosił przeszło 460,000 złr.

Szkoły. Dla gimnazyum V w Warszawie będzie wybudowany gmach oddzielny kosztem 80,000 rs.

— Cesarz austryacki zezwolił na otwarcie przy uniwersytecie lwowskim wydziału lekarskiego w roku szkolnym 1894/5. W ciągu lat pięciu będzie dodawany stopniowo co rok kurs wyższy.

Sprawy kolejowe. Na sesyi rady zarządzającej kolei Nadwiślańskiej w Petersburgu odmówiono dodatku do pensyi urzędników z powodu drożyzny. Etat osobisty urzędników tej drogi na rok przyszły również ograniczony.

— Co rok wyznaczany fundusz rs. 40,000 na wsparcia dla urzędników etatowych kolei Wiedeńskiej, podniesiono obecnie o 16,000 rs. Rada zarządzająca poleciła dyrekcyi sporządzić wykaz urzędników będących na służbie przynajmniej od lat 5-ciu, z oznaczeniem ilości pobieranej płacy, dat awansów itd. Ma to na celu polepszenie bytu pracowników.

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich wprowadzi specyalne wagony do przewożenia bydła tudzież na stacyach granicznych wybuduje obszerne rzeźnie.

— *Graždanin* zapewnia, że w wyższych sferach rządowych poruszono sprawę zniżenia taryf pasażerskich na wszystkich kolejach w obrębie państwa. Pierwotny projekt zniżenia opłaty na niektórych tylko drogach departament odrzucił. Natomiast uznano, iż możebnem jest zmniejszyć cenę biletów wszystkich trzech klas na wszystkich kolejach odpowiednio do odległości; na 50 wiorst zniżka wynosić ma 15%, 50—209 wiorst 20%, 200—450 w — 25%, następnie 30% itd. Zastosowanie projektu w praktyce spodziewane jest w lecie r. p.

Przemysł i handel. Na Pradze spekulanci skupują kartofle, w zamiarze wyczekiwania możliwie najwyższych cen.

— Dn. 1 b. m. w Łodzi spaliła się fabryka wyrobów gumowych E. Wickiego. Prócz zapasu towarów i materyałów surowych, ogień pochłonął przeszło 100 warsztatów i maszyn. Fabryka zatrudniała 150 robotników obojga płci.

— Miasto St. Etienne we Francyi udzieliło robotnikom 10,000 fr. na objęcie we własny zarząd kopalni Moutieux.

— Rząd francuski zezwolił na przywożenie drogą morską baranów ruskich, nawet w razie, jeżeli statek wiozący ten towar zawijać będzie do miejscowości dotkniętych zarazą, z zachowaniem pewnych ostrożności sanitarnych.

Wiadomości administracyjne. Na posiedzeniu komisyi gubernialnej do spraw fabrycznych rozstrzygnięto kwestyę paszportów robotników, zamieszkałych przy fabrykach. Dokumenty takie mają być przechowywane w kantorach fabrycznych; tymczasem według przepisów miejscowych, składane są w urzędach gminnych. Nadal również tam będą składane, a tylko karty pobytu zarządy fabryczne zachowają u siebie. Wyjątek zrobiono dla fabryki żyrardowskiej, gdzie paszporty będą przechowywane w zarządzie zakładów.

Dobroczynność publiczna. Tow. dobroczynności w Płocku uchwaliło prowadzenie ochronki wyłącznie własnym kosztem.

— Przytułek noclegowy na Pradze otwarto, gdzie pościel, dawaną w latach poprzednich, skasowano.

— W osadzie Grabowie (pow. łęczycki) powstanie wkrótce dom schronienia. Fundusz na ten cel jeszcze r. 1811 zapisała Kwiatkowska.

Wystawy. We wrześniu r. p. będzie otwarta w Łodzi wystawa ogrodnicza.

— Główny zarząd więzień postanowił urządzać peryodyczne wystawy wyrobów więziennych.

Konkurs. Towarzystwo leśne w Petersburgu postanowiło ogłosić konkurs na opracowanie projektu ochrony lasów w gub. południowych, południowo-zachodnich i na brzegach rzek.

Bibliografia. K. Junosza, *Wybór pism*, tom III, str. 273. Warszawa.

— T. J. Choiński, *Po złote runo*, powieść, str. 261, Warszawa.

— *Bławatki*, kalendarz ilustrowany dla dzieci od lat 9 do 14 pod redakcyą H. Wernica, str. 209, Warszawa, Guranowski.

Zmarli. Arysl. Gabelli, w Padwie; znany pedagog i reformator szkół we Włoszech.

— Dr. Fryd. Zarnlka, prof. języka niemieckiego i literatury na uniwersytecie w Lipsku.

— Franciszek Teodor Grosse, malarz historyczny, w Dreznie.

— Aleksander Exarch, w Konstantynopolu, dziennikarz bułgarski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Paniom I. P. i Z. P. Nie, a bliższe wytłomaczenie znajdą Panie w poprzednim numerze („Pamiętnik").

I. M. Z. Istnieje wiele zajmujących się jakąś gałęzią nauk przyrodniczych. Z ogólnych: *Nature* (rs. 10 k. 65), *Natur* (rs. 7 k. 40), *Revue scientifique* (rs. 14 k. 30). Są to ceny z przesyłką pocztową — przez księgarnie taniej. O książce Kautskego zamieściliśmy sprawozdanie, Ritchiego (*Darwinizm*) jest gruntowną rozprawą naukową.

Stypendya z zapisu ś. p. Fr. Kamińskiego. Z zapisu ś. p. Franciszka Kamińskiego wakuje kilka stypendyów w wyższych zakładach naukowych dla niezamożnych studentów polaków rodem z Królestwa Polskiego, katolików rodziny Kamińskich lub Bartkowskich, a w braku tych, innych rodów. Studenci, pragnący korzystać z tego zapisu, winni się zgłosić do p. Aleksandra Wysockiego, naczelnika kancelaryi Komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego w gmachu tego Towarzystwa przy ul. Erywańskiej pod Nr. 1, urzędującego pomiędzy godz. 12-ą a 2-ą po południu, i winni złożyć następujące dowody:

1) Metrykę urodzenia,
2) Świadectwo niezamożności,
3) Świadectwo właściwej władzy uniwersyteckiej o uczęszczaniu na kursa i o dobrem sprawowaniu się,
4) Opis życia z wymienieniem miejsca obranego zamieszkania.

Pierwszeństwo do stypendyów mają kandydaci, będący na ostatnich kursach rozpoczętych nauk.

Przyjmowanie podań będzie zamknięte z dniem 18-m listopada r. b.

Warszawa, 18 października 1888 r.

Karol Hube.

Wyszły z druku:

Drobiazgi Historyczne

Aleksandra Kraushara.

Serya druga.

TREŚĆ: Marek Reverdil. — Obrazek Warszawy. — Wspomnienia trybunalskie.— Przygody francuza Payeria. — Notatki anglika Morisona. — Maska żelazna. — Ramzes Baltazzari.

Cena 1 rs. 80 kop. (z przesyłką 2 rs.).

Tegoż autora:

Drobiazgi Historyczne

Serya pierwsza.

Cena 1 rs. 80 kop. (z przesyłką 2 rs.).

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Br. Rymowicza w Petersburgu.

Nakładem naszym wyszła

PSYCHOLOGIA DZIECKA

Dr. med. L. Wolberga.

Cena **rs. 2**, *z przesyłką pocztową* **rs. 2 k. 20.** *Pragnący posiadać tę książkę zechcą nadesłać pieniądze lub polecić wyekspedyować ją za pobraniem pocztowem. — Egzemplarze oprawione o 20 kop. drożej.*

Wydawnictwo Spółki Nakładowej.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI

słowa

Maryi Konopnickiej,

muzyka

Zygmunta Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera **50** piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe donieśienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłano jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

O G Ł O S Z E N I A.

Wychodzi codziennie, nie wyłączając Niedzieli.

Istniejący rok setny dziewiętnasty

Dziennik Polityczno - Społeczno - Literacki

„GAZETA WARSZAWSKA"

z bezpłatnym dodatkiem tygodniowym p. t.

„Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy."

Jedyny większy dziennik wychodzący codziennie zrana i wysyłany na pocztę przed południem — jest więc pismem najwcześniej dochodzącem na prowincyę i z wielkich gazet warszawskich najtańsze.

TREŚĆ PISMA:

Artykuły wstępne, poświęcone sprawom krajowym i zagranicznym.—Artykuły luźne z dziedziny objawów życia społecznego, ekonomicznego rozwoju kraju, rolnictwa itp. — Korespondencye z różnych stron Królestwa Polskiego i Cesarstwa, korespondencye stałe z Krakowa, Lwowa, Pragi, Wiednia, Berlina, Paryża, Rzymu, Londynu itp. — Fejleton, poświęcony sprawom teatru, muzyce, sprawozdaniom ze sztuk pięknych. — Kroniki miesięczne z Paryża i Wiednia. — Sprawozdania z ruchu książkowego i literackiego w kraju i za granicą. — Notatki literackie jako wskazówki dla chcących się zapoznać z ruchem literackim. — W fejletonie powieści i nowele oryginalne i tłomaczone. — Kronika sądowa. — Telegramy: własne i Agencyi północnej. — Sprawozdania z ruchu handlowego i przemysłowego. — Ceny zboża i produktów rolniczych na rozmaitych rynkach Królestwa, Cesarstwa (Odesa, Libawa, Ryga) i zagranicy.

Warunki prenumeraty „Gazety Warszawskiej"

W Warszawie: rocznie rs. **9**, półrocznie rs. **4** k. **50**, kwartalnie rs. **2** k. **25**, miesięcznie kop. **75**. Za odnoszenie do domu **5** kop. miesięcznie.

Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. **12**, półrocznie rs. **6**, kwartalnie rs. **3** — łącznie z przesyłką pocztową.

Przedpłata przyjmuje się od każdego 1-go miesiąca według kalendarza nowego stylu.

Za wiersz ogłoszenia petitem lub jego miejsce **8** kop. Wiersz reklamy **20** kop.

ADRES: **Redakcya „Gazety Warszawskiej" Warszawa Krakowskie Przedmieście Nr. 2.**

Redaktor i Wydawca ***St. Lesznowski.***

W ciągu roku wychodzi 343 razy.

Wychodzi codziennie, nie wyłączając Niedzieli.

Każdy prenumerator ma prawo wydrukować co kwartał ogłoszenie bezpłatne objętości dziesięciu wierszy petitowych.

Każdy prenumerator ma prawo wydrukować co kwartał ogłoszenie objętości dziesięciu wierszy petitowych.

Spółka Nakładowa

zawiązana przez grono pisarzów polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i literackiej, oryginalnych i tłomaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu, że literatura stanowi ważny i trwały grunt do życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza sił żywotnych, Spółka Nakładowa grunt ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowemi rzetelnej i nieprzygodnej ceny. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają kierunek i charakter jej przedsięwzięcia.

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz L. System socyologii— rs. 3 k. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i innych. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — rs. 1 k. 20.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej. Str. XIII i 327 — rs. 1 k. 50.

A. Okolski Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P.—rs. 3.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora—rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno - społeczne, str. 66 — kop. 60.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej:** Warszawa, **Marszałkowska, 95.**

Wydawnictwa „Prawdy."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.,** tomów cztery, tłom. K. Lewald rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika,** tłom K. Lewald—rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce.** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmysłność i moralność rośliu** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Baroi i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie,** powiastki: Chawa Rubin. Karl Krug., Damian Capenko—k. 50.

— **Klemens Boruta,** powieść — k. 40.

— **Niewinni,** dramat w trzech aktach— k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i robie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w ur[illegible] rs. 1 kop. 20 z przesyłką rs. [illegible]

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 25 Октября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.